Stanisław Grochowiak

PARTITA NA INSTRUMENT DREWNIANY W POPIÓŁ PŁODNA

Stanisław Grochowiak

XX ROCZNICA

Premiera sztuk Stanisława Grochowiaka: *Partity na instrument drewniany* i *W popiół płodnej*, ma w odczuciu zespołu artystycznego Teatru Polskiego charakter specjalny.

Dedykujemy ją wielkiej tegorocznej Jubilatce. Polska Ludowa rozpocznie wkrótce dwudziesty rok swego twórczego, pracowitego życia.

Partia na swoim Zjeździe, a w ślad za nią wszystkie środowiska i jednostki związane w socjalistyczną zbiorowość sięgają myślą w przeszłość, szukając źródeł swojej siły i korzeni wielkich osiągnięć — oraz w przyszłość, by odnaleźć wskazania dla dalszej budowy wspólnego szczęśliwego domu.

W chwili gdy radujemy się z dodatniego bilansu indywidualnych i zbiorowych wysiłków, wracamy *Partitą na instrument drewniany* do tych dni grozy i okrucieństwa, kiedy wielka idea przechodziła próbę krwi. Nie wolno nikomu o tych dniach zapomnieć. Wracamy również do lat, gdy na ziemi dolnośląskiej tworzyć się zaczął nowy człowiek — twórca nowego ładu, rzeczywisty dziedzic i gospodarz ziemi „w popiół płodnej".

Środowisko teatralne, pojmując swoją misję przekazywania nowemu społeczeństwu wspaniałego dziedzictwa humanistycznego wszystkich czasów i tworzenia nowych wartości, nie pozostanie nigdy obojętne wobec gorących treści naszego dnia dzisiejszego.

Klemens Krzyżagórski

FATALNE SKUTKI BUDOWANIA SZUBIENIC

Drugiej wojnie światowej zawdzięczamy powstanie nowoczesnego przemysłu zabijania.

To może być zdanie z wypracowania ucznia. Na przykład tego ucznia zachodnioniemieckiej szkoły, który — doniosła o tym prasa — napisał, że Adolf Hitler był budowniczym mostów i autostrad. Albo z rozprawy historyka. Na przykład tego zachodnioniemieckiego historyka, który napisał, że Polska zawdzięcza drugiej wojnie światowej rozwój gospodarczy Generalnej Gubernii. Ale, bądźmy sprawiedliwi! to zdanie może się także wymknąć spod pióra polskiego ucznia: tego mianowicie, który serdecznie bawi się na filmie o tematyce wojennej, bo traktuje go jak odmianę westernu: jak andersonowską bajkę o dzielnym żołnierzyku, który zabił starą kobietę, bo była czarownicą.

Pozostańmy wierni poetyce tego zdania. Więc Niemcy stworzyli w latach czterdziestych nowoczesny przemysł śmierci. Technologia zabijania skorzystała z naukowego dorobku biologii, medycyny i chemii. Przemysł śmierci miał — jak każdy inny — budynki, agregaty produkcyjne, urządzenia energetyczne, narzędzia i surowiec. Narzędziem był cyklon wytwarzany przez IG „Farben", surowiec dowożono w opieczętowanych wagonach, sam sobą już na poły uduszony, co zmniejszało koszty zużycia cyklonu. Miał ten przemysł swoją ekonomikę i swoją statystykę. Ekonomika odpowiadała na pytanie: jak zabijać taniej? statystyka nie zawierała tabeli: „koszty moralne zabijania".

Ale oto osobliwość: Niemcy zabijali także metodami chałupniczymi. Nieekonomicznie. Wieszali. Dlaczego?

Przemysłowe zabijanie jest zabijaniem anonimowym. Jest zabijaniem ludzi. Albo bardziej socjologicznie — zabijaniem

określonych grup społecznych. Ludzie mają numery, numery skreśla się z ewidencji. Statystyka skreślonych numerów jest produkcją komory gazowej. Pojedynek ludzkich organizmów z gazem zabijającym trwa krótko. Jest niewidoczny, skryty w komorze, jest nieefektowny. Jest nieteatralny.

Ludzi dobrze jest zabijać w komorze gazowej, człowieka dobrze jest powiesić na szubienicy. Wieszanie redukuje śmierć ludzi do śmierci człowieka. Ale ta redukcja jest spotęgowaniem grozy. Technologia śmierci na szubienicy jest bogata i barwna: człowiek staje na praktykablu, człowiekowi zakłada się sznur na szyję, człowiekowi wytrąca się praktykabel spod nóg. Człowiek się miota, dławi i nieruchomieje. Narzędzia zabijania: szubienica i sznur — są dobrze zadomowione w świadomości widzów. Widzowie odczuwają ucisk na gardle, dławią się grozą. Zabijanie w komorze gazowej jest przemysłem śmierci, wieszanie jest teatrem śmierci. Przemysł śmierci dzieje się przeciwko zabijanym, teatr śmierci dzieje się przeciwko zabijanym i przeciwko patrzącym na to widzom. Teatr śmierci jest egzemplifikacją przemysłu śmierci. Jest sprowadzeniem statystyki do psychologii. Ma oddziałać na emocje widzów, porazić ich grozą, sparaliżować ich opór przeciwko powszechnemu zabijaniu. Dlatego Niemcy wynaleźli komory gazowe, ale spożytkowali również szubienice. Uprawiali przemysł zabijania, ale nie stronili od teatru zabijania.

Sztuka powojenna podjęła oba tematy: masową zagładę i terror indywidualny. Masowa zagłada była zbyt nowym i zbyt przeraźliwym doświadczeniem ludzkim, by nie skorzystała z preferencji. W poezji podjął ją — wyliczam oczywiście tylko przykładowo — Tadeusz Różewicz; w prozie: Borowski, Rudnicki i Sandauer; w filmie: Jakubowska i Munk; w dramaturgii: Grochowiak, Hołuj i Iredyński; w teatrze grę o masowej zagładzie uprawia na partyturze klasyki Jerzy Grotowski. Ale — może mi się tylko tak wydaje? — na scenie jest przemysłowi zabijania jak gdyby za ciasno. Nie w sensie fizyczno-przestrzennym, bo z tym by teatr sobie jakoś poradził, ale właśnie w sensie filozoficzno-moralnym.

Jeśli pominąć eksperymenty formalne Grotowskiego, to w powojennej dramaturgii polskiej nie powstała ani jedna sztuka, której zawartość intelektualną i siłę ekspresji dałoby się zestawić z tym, co w innych rodzajach artystycznej wypowiedzi osiągnęli Borowski i Różewicz. Nawet w „Jasełkach modern" — zręcznych i na swój sposób przejmujących — obóz zagłady istnieje za sceną, na scenie panuje terror indywidualny, a zabijanie praktykuje się techniką staroświecką: strzałem z pistoletu.

Moralny osąd zabijania daje się sprowadzić do trzech pytań: kto i dlaczego wydał rozkaz, kto i dlaczego go wykonał, kto i dlaczego zbudował szubienicę? Są to pytania o winę ideologa, polityka i organizatora, o winę cieśli. W temacie masowej zagłady wina cieśli jest trudna do ustalenia. Nie dlatego, że — w miejsce siekiery — dzierży on próbówkę w firmie farmaceutycznej „Bayer" lub dozoruje agregat produkcyjny w kombinacie IG „Farben". Dwuznaczność jego sytuacji moralnej wynika stąd, że dwojakie może być zastosowanie jego produktu. Specyfik farmaceutyczny może posłużyć leczeniu i może być narzędziem w przemyśle śmierci, gaz może być użyty na froncie — co z punktu widzenia niemieckiego producenta dałoby się usprawiedliwić — i może służyć do wypełniania komór w obozie zagłady. Producent może uchylić się od odpowiedzialności moralnej wygodną ufnością w prawidłowe funkcjonowanie działu zbytu. Albo naiwną wiarą w czystość instancji swego zwierzchnictwa.

Stąd więc potrzeba przywołania sytuacji klasycznej. Pytanie o winę cieśli najlepiej postawić w obliczu prawdziwej szubienicy. Przeznaczenie szubienicy jest tylko jedno. Nie po to buduje się szubienice, by zawiesić na nich dziecięce

huśtawki. Redukcja do sytuacji klasycznej nie jest jednak odejściem od tematu masowej zagłady. Jest znowu tylko egzemplifikacją. Jest próbą pytania o winę cieśli, jest próbą odpowiedzi, że cieśla — każdy cieśla, ten od siekiery i ten od próbówki — jest także winien.

W scenariuszu Stanisława Grochowiaka *Partita na instrument drewniany* spotykamy się z taką właśnie konieczną redukcją. Narzędzie śmierci jest tu przeznaczeniowo niesporne, sprowadzone do jakości elementarnej. Jest nim szubienica. Drewniany instrument, na którym zostanie odegrana suita o odpowiedzialności cieśli. Cieśla jest Polakiem, będzie budował szubienicę w małym miasteczku Generalnej Gubernii. Więc to chyba przesądza kwestię jego odpowiedzialności?

Nie przesądza. Grochowiak jest sprawnym dramaturgiem, pyta o odpowiedzialność cieśli w skomplikowanej sytuacji życiowej bohatera. Pyta, czy wolno wybudować szubienicę za cenę uratowania życia własnej córki? Czy wolno wybudować szubienicę za cenę przetrwania wojny? Czy wolno wybudować szubienicę, bo i tak ktoś to przecież zrobi? Czy wolno wybudować szubienicę, bo nie przeznaczenie rzeczy jest ważne, ale jej doskonałość? Czy wolno wybudować szubienicę, gdy nie identyfikujemy się z ludźmi, którzy mają być na niej powieszeni?

Mamy więc wcale bogaty katalog problemów filozoficznych i moralnych. Sytuację tragicznego wyboru, dwóch wartości konkurencyjnych, z których bohater może wybrać tylko jedną: albo budowanie szubienicy, albo śmierć córki. Ta alternatywa wprowadza nas w świat tragedii zorientowanej na współczesną filozofię człowieka. Mamy pytanie o moralną wartość postawy pragmatycznej. Umrzeć z głodu, czy żyć jako budowniczy szubienicy? Tylko w sferze teorii wypreparowanej z psychologicznych i społecznych konkretów jest to pytanie łatwe do rozstrzygnięcia. Bo przecież w tym samym czasie, gdy Weych — bohater *Partity* — ma wybrać między głodem a budowaniem szubienicy, śląski polityk, ks. biskup Stanisław Adamski, wzywa podległe mu duchowieństwo i ludność świecką, by zgłosiła akces do narodu niemieckiego, pozostała na miejscu, zajęła posady w urzędach i instytucjach niemieckich. Czyli *nolens volens* przyjęła *status* cieśli budującego szubienicę. Tymczasem powojenny katolicki monografista tego problemu nazwie apel księdza biskupa „samodzielną koncepcją przetrwania, którą należy traktować jako pewnego rodzaju formę walki z okupantem". A sam twórca tej koncepcji ogłosi ją po wojnie — w broszurze *Pogląd na rozwój sprawy narodowościowej w województwie katowickim w czasie okupacji niemieckiej* (Katowice 1946) — dowodem swego patriotyzmu i swej przenikliwości politycznej. Mamy wreszcie w *Particie* refleks sytuacji, w której wytwór pracy zwraca się przeciwko podmiotowi pracy. Narzędzie śmierci budowane gwoli zabicia innych — przyniesie śmierć swemu twórcy. Weych zostanie zabity, wprawdzie nie na zbudowanej przez siebie szubienicy, to byłoby zbyt proste i skądś już znane, ale w bezpośrednim jej pobliżu. Weych pobiegnie ku zabijanym z okrzykiem: „Towarzysze!". Ten gest, praktycznie zabijanym już nieużyteczny, jest dokonaniem wyboru moralnego w sytuacji zbrodni politycznej. W teatrze śmierci miejsce widzów jest bowiem po stronie zabijanych. Niemal dosłownie — w sensie zgoła fizycznym. Widz staje się ofiarą, groza przemienia się w wybór walki. Teatr śmierci jest — spożytkujmy tu metaforę Grotowskiego — lampą łukową, wybór walki jest iskrą, która biegnie od zabijanych ku widzom. Niemiecki teatr śmierci właśnie dlatego był nieskuteczny, że nie było w nim dwóch ansambli: ansamblu ofiar i ansamblu widzów. Był jeden ansambl — zabijanych i widzów, którzy się z nimi identyfikowali; zdławiwszy grozę — przejmowali ich rolę.

Ten postulat maksymalizmu moralnego nadaje szlachetny ton particie Grochowiaka. Na nieproste pytania otrzymujemy odpowiedzi dalekie od kategorii epatujących intelektualną przewrotnością. Tak wzruszająco proste, że chciałoby się rzec — wyjęte z ludowego moralitetu.

Budowanie szubienic jest niezdrowe. Jeden z budujących nabawi się przy tym zapalenia płuc, drugi porani ręce. Budowanie szubienic jest nieopłacalne. Córka cieśli umrze, on sam — zważywszy swój wybór — dojdzie do wniosku, że został oszukany. Budowanie szubienic jest karalne. Cieśla zostanie zabity obok swej szubienicy. Zabity z własnego wyboru, płacący śmiercią cenę kompromisu moralnego.

Uniwersalny morał *Partity* o fatalnych skutkach budowania szubienic zdaje się mieć użyteczność nie tylko wojenną. Należy do tych odwiecznych prawd ludowych, którym historia zbyt często przydaje aktualności.

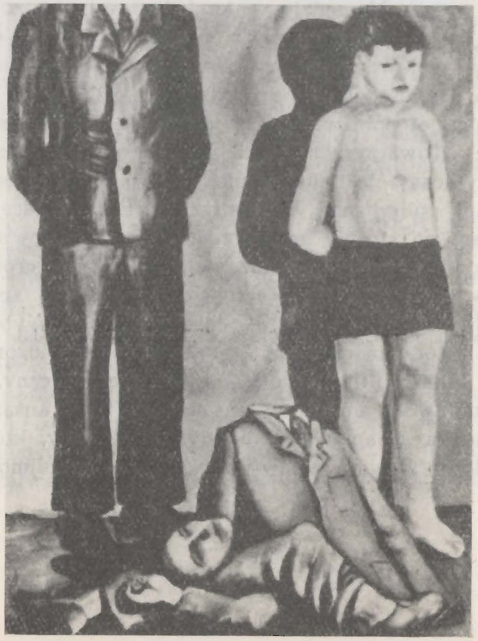

Andrzej Wróblewski, Rozstrzelanie VI, 1949, olej

Władysław Broniewski

PIĘĆDZIESIĘCIU

(fragment)

PAŹDZIERNIKOWY MROK, JAK KAT,
NAD ŚPIĄCYM MIASTEM GROŹNIE STANĄŁ,
WŚRÓD PUSTYCH ULIC ŚWISZCZE WIATR,
STUKAJĄ BUTY SS-MANÓW
I JAK BREDZENIE CIĘŻKO CHORYCH
PRZELATA ULICAMI MIASTA
PAŹDZIERNIKOWA NOC SZESNASTA
Z RYKIEM MOTORÓW. CZY UPIORÓW?...

WARSZAWA NIE ŚPI, OKIEM OKIEN
RACHUJE AUTA: SIEDEM... OSIEM...
WARSZAWA NIE ŚPI I — DRAPIEŻNA —
PRZYCZAJA SIĘ W UDANYM ŚNIE,
BO SEN WARSZAWY — TO JEJ GNIEW,
A WTEDY CZUWA I SNU NIE ZNA.

ICH WSZYSTKICH BYŁO PIĘĆDZIESIĘCIU.
WIĄZANO GRUPY PO DZIESIĘCIU
I PCHANO SIŁĄ W PASZCZE AUT,
A POTEM — WOLA, WŁOCHY, DWORZEC...
NAD WSZYSTKIM BUJAŁ, JAK PROPORZEC,
DOPEŁNIAJĄCY SIĘ JUŻ GWAŁT.

O, PATRZ, WARSZAWO, TO SĄ CI,
ZA KTÓRYCH SIĘ HISTORIA MŚCI,
TO ONI WOLĄ NIEUGIĘTĄ
UCZYLI NAS, JAK ŻYĆ, JAK BIĆ SIĘ,
JAK GARDZIĆ ŻYCIEM, KOCHAĆ ŻYCIE,
ŻEBY SYN I WNUK PAMIĘTAŁ...

O, PATRZ, WARSZAWO, TOŻ TO TAMCI,
KTÓRZY NAS MIELI ZMIAŻDŻYĆ, STŁAMSIĆ,
PRZED NASZ SĄ POWOŁANI SĄD,
BY IM WYROKIEM WSKAZAĆ KRWAWYM,
ŻE SIŁA PODŁYCH NIE JEST PRAWEM,
ŻE TO BLUŹNIERSTWO, ŻE TO BŁĄD.

ICH BYŁO TYLKO PIĘĆDZIESIĘCIU,
Z POWIŚLA, Z WOLI BYLI WZIĘCI,
Z WARSZTATÓW PRACY, FABRYK, HUT...
TO ONI KAŻDĄ Z BRUKU CEGŁĄ
O WOLNOŚĆ BILI SIĘ, O LUD,
O CHLEB NASZ I — O NIEPODLEGŁĄ!

ICH BYŁO TYLKO PIĘĆDZIESIĘCIU,
LECZ PO NICH POSZŁY NAS MILIONY
W WOJENNYM SZCZĘŚCIU I NIESZCZĘŚCIU
KU DNIOM TAK WTEDY ODDALONYM.

ICH BYŁO TYLKO PIĘĆDZIESIĘCIU,
A MYŚMY ZACISKALI PIĘŚCIE...

OBYWATELE, TOWARZYSZE,
NIC WIĘCEJ O NICH NIE NAPISZĘ...

Klemens Krzyżagórski

O CHŁOPIE I DIABLE

Partita na instrument drewniany traktuje o stadium zapalnym polsko-niemieckiego sąsiedztwa. Stadium zapalne, formalnie rzecz biorąc, skończyło się w roku 1945. Sprawcom przemysłu śmierci i teatru śmierci przedstawiono rachunek. Nie wolny jeszcze, przynajmniej w swej stylistyce, od wojennych emocji. „Wyobrażam sobie — powiedział brytyjski polityk w Izbie Gmin — tylko jeden sposób spoglądania Niemcom w oczy: przez strzelinkę celowniczą karabinu maszynowego". Ale głównymi pozycjami tego rachunku rządzi polityczna rozwaga.

W czasie konferencji krymskiej i poczdamskiej polsko-niemieckie sąsiedztwo uzyskuje nową granicę. Truman powie o niej w Poczdamie, komentując układ dopiero co zawarty: jest to granica „krótka i łatwa do obrony". Jest to granica na Odrze i Nysie zachodniej.

Chłop ze scenariusza Stanisława Grochowiaka *W popiół płodna* — i w ogóle polski chłop znad Pełtwii, Wilii i Dniestru — wybierał jednak dorzecza Odry i Nysy nie z poręki historii: ani tej najdawniejszej, ani tej wojennej. Najpewniej jej nie znał. Decydował się na bezpośrednie, fizyczne uczestnictwo w polsko-niemieckim sąsiedztwie wiedziony tutaj argumentacją znacznie lepiej przemawiającą do jego wyobraźni: „Tereny te są prawie całkowicie wyludnione. Majątek, który przeszedł na własność Polski — naszego narodu — jest niezabezpieczony. Bydło bez opieki gospodarza marnieje, zapasy żywności niszczeją. W ciągu roku bieżącego musimy osiedlić tam 3,5 miliona Polaków, w tej liczbie 2,5 miliona w okresie do żniw, aby nie dopuścić do zmarnowania się plonów" (z dokumentów KC PZPR, kwiecień—maj 1954). Ale ten chłop swoją decyzją

wybierał również własną funkcję w historii: z jej przedmiotu stawał się podmiotem. Wytyczał granice, kształtował mapę Europy. Nie ma w tym ani odrobiny przesady. W roku 1947 pisał o Wrocławiu Ilia Erenburg: „Wrocław jest dla mnie miastem polskim nie dlatego, iż zachowały się w nim cegły z czasów Bolesława Krzywoustego, ale dlatego, że trzysta tysięcy polskich pionierów umiało przepoić życiem wypalone i połamane mury". To samo można powiedzieć o każdej nadodrzańskiej wiosce: jej polskość spełniała się nie w planie historii, ale w planie współczesności: spełniała się obecnością Polaków.

Gospodarska obecność polskich osadników nad Odrą urzeczywistniła taką mapę Europy, jaką zaprojektowano w Jałcie i Poczdamie.

Anonimowy twórca tej dobrej mapy rozglądał się jednak po nadodrzańskiej sukcesji nieco skonfundowany. Obiecano mu tutaj dom, dom był rzeczywiście, ale — murowany. Cegła rzecz zimna, chcą go zamrozić. W Legnickiem osadnicy nie chcieli wprowadzać się do murowanych domów. Chłopi zaczynają kształtować zastane bogactwo na obraz i podobieństwo swojej ojcowizny. Etnografowie odnajdują przybysza, który w kuchni wybudował sobie wielki rosyjski piec. Ten zastany z blachą, na której nie można się położyć, wydał mu się ułomny, może nawet — w swej ograniczonej funkcjonalności — groteskowy. W jednej z dolnośląskich wiosek przybysze z Polesia zagradzają rzekę, kopią kanały, zalewają pola. Umieją gospodarować na bagnach, polubili gospodarować na bagnach, chcą podporządkować ziemię swoim produkcyjnym nawykom. W innych wioskach przerabiają ciężkie wozy o szerokim rozstawie kół — na lekkie, wąskie wózki. Takimi jeździli na Wołyniu, nie wiedzą jeszcze, że na tutejszych drogach praktyczniejszy jest tutejszy wóz. Gdy prószy pierwszy śnieg, sposobią sanie. Ale śnieg zalega cienką warstwą

i szybko topnieje — płozy sań szorują po piasku. Porają się z odmienną ziemią i odmiennym klimatem; dostosowują zastane rzeczy do przywiezionych nawyków; mitrężą czas, doznają niepowodzeń; będą przysposobiali się do nowych warunków, nabierali nowych nawyków; potrwa to trochę, ale w ostatecznym efekcie odniosą sukces. Ten proces nazywa socjolog — adaptacją społeczną.

Stanisław Grochowiak poskąpił swojemu bohaterowi cech tego dramatycznego nieprzystosowania się. Chłop ze scenariusza *W popiół płodna* przyjeżdża do nadodrzańskiej wioski jesienią, rozpakowuje się i — już następnego dnia — naprawia dach w stodole. Pochodzi z biednej zabużańskiej wioszczyny, gdzie jedynym przyzwoitym domem była plebania, ale właśnie postanawia wstawić szyby w inspektach. Bodaj by w tych inspektach posiał proso, ale on tam chyba będzie uprawiał kalafiory „pionier" (odmiana średniowczesna). Jeszcze przed zimą oporządzi stajnię, oborę i kurnik. W trzy kwartały później zbierze już pierwszy plon, zasypie nim komórkę: obrodziło. Będzie się wybierał bryką do kościoła. Jeszcze kilka lat i syn mu wyrośnie, żona wyładnieje, będzie majętny, spokojny, pewny siebie. Ładnym gestem odrzuci oferowane mu złoto. Jest to bajkowy chłop w obu znaczeniach tego słowa: taki bardzo piękny i taki bardzo nierzeczywisty.

Osadnicy zza Buga przybywali nad Odrę gromadnie. Spotykali tutaj niewielkie skupiska ludności rodzimej oraz przybyszów z innych stron kraju i świata. W zetknięciu z nimi zaczynali uświadamiać sobie własną odrębność: inności swej tradycji,kultury, obyczaju, gwary. Sami także rażą innością, stają się przedmiotem żartów i złośliwości. Odżywają ludowe stereotypy: ten zza Buga zostanie ogłoszony „Moskalem", autochton znad Odry — „Szwabem". Minie trochę lat i różnice się zniwelują, małe grupowe konflikty ustąpią poczuciu wspólnego losu, wykształcą się

różne typy więzi społecznej. Dzisiaj termin „Dolnoślązak" nie jest jedynie informacją z dowodu osobistego — jest znakiem, który potrafi ożywić wyobraźnię socjologa, przywołać świadomość procesów integracyjnych przemieniających grupy osadnicze w ustabilizowaną społeczność. Ale kiedy w scenariuszu Grochowiaka chłopka zza Buga już w pierwszym roku demonstruje swój szacunek do rodzimej ludności śląskiej, to znów jesteśmy w świecie bajki. Bardzo pięknej i bardzo szlachetnej, ale i trochę irytującej swoją gładkością.

Chłopi otrzymują nad Odrą gospodarstwa. Oglądają je zrazu nieufnie, później zaczynają cenić sobie posiadanie, szanować swój społeczny i prawny *status* gospodarczy.

Bohater Grochowiaka już po trzech kwartałach pobytu nad Odrą występuje w roli gospodarza, minie kilka lat i będzie z tą rolą całkowicie zidentyfikowany. Autor poddał go obróbce przy pomocy — czasu. Wierzy, że znamy treść tego czasu, jego konflikty społeczne, jego skomplikowaną amplitudę zdarzeń, dramatyczne — i w ostatecznej instancji skuteczne — przezwyciężanie zapór blokujących chłopskie aspiracje do posiadania własnego miejsca na tej ziemi. Ale to wszystko dzieje się w antraktach. Antrakty są w scenariuszu Grochowiaka niesłychanie dramatyczne. W antraktach śpiewa chór, żeby zagłuszyć pracowite zgrzytanie społecznego mechanizmu.

Jest jednak w scenariuszu Grochowiaka konflikt, i to wcale niebłahy. Znaczący współczesne stadium polsko-niemieckiego sąsiedztwa. W roku 1945 Truman komentuje układ Poczdamski: „Terytorium oddane Polsce w administrację pozwoli Polsce lepiej wyżywić swą ludność. Zasiedlone przez Polaków uczyni ono z Polski naród bardziej jednolity". Mija jednak rok i sekretarz stanu w administracji Trumana oświadczy na lotnisku w Sztuttgarcie, że „należy dążyć do ponownego podjęcia kwestii

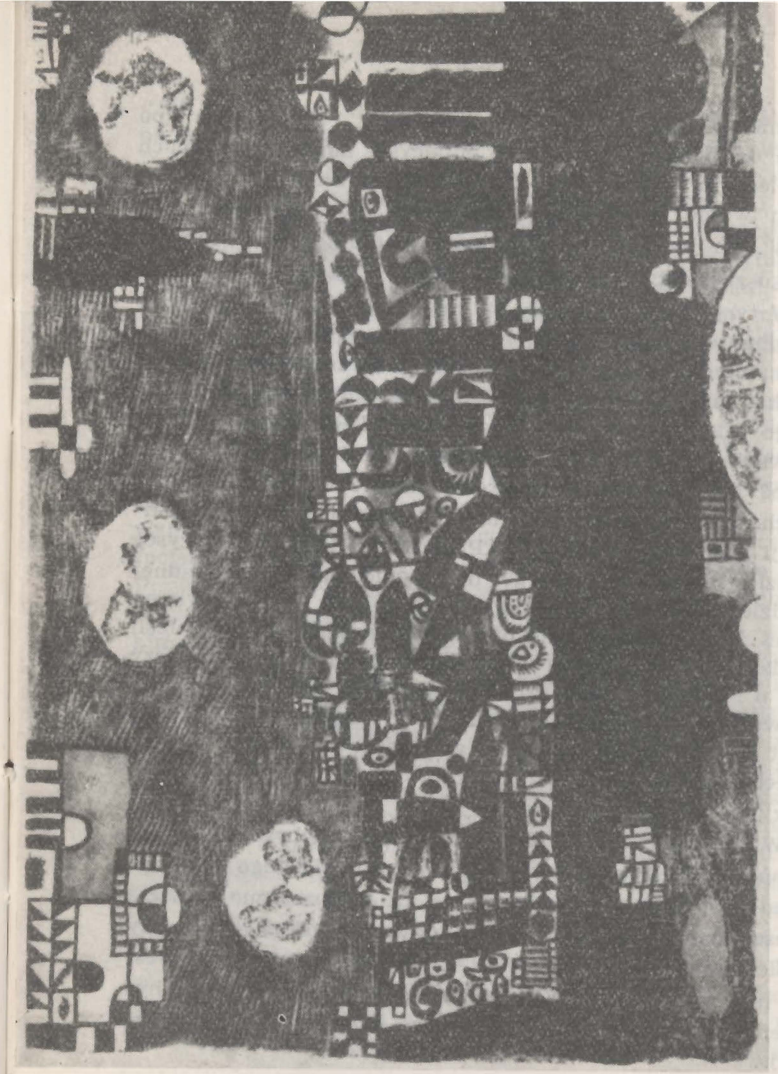

Mieczysław Wejman, Zmagania, 1961, drzeworyt

granic zachodnich państwa polskiego". W dwa dni po tym oświadczeniu niemiecki publicysta napisze na łamach „Telegrafu": „Teraz, gdy te odważne słowa padły, również nam wolno w imieniu uciśnionych znów podnieść swój głos". To jest właśnie powojenne stadium polsko-niemieckiego sąsiedztwa: podnoszenie głosu za Łabą.

W tym czasie — tak by się to chciało jakoś połączyć! — w domu polskiego chłopa nad Odrą pojawia się Przybysz. Był właścicielem tego gospodarstwa, teraz mieszka za rzeką. Przychodzi nocą, żeby obejrzeć swoje gospodarstwo, więc może przyszedł tu z *Odwiedzin* Leona Kruczkowskiego: refleksyjny, sentymentalny i pogodzony z losem? Nie, ma bardzo konkretny interes w tych odwiedzinach. „Przyszedłem jak brat" — mówi i w tej autodefinicji jest oczywiście groźba. Pisze gdzieś Beckett: „Wszyscy ludzie są braćmi, dlatego nie wolno nam mieć żadnej nadziei". Przybysz chce uświadomić chłopa, że nie powinien mieś żadnej nadziei. Ale oferuje mu posadę parobka. Jeśli będzie dbał o gospodarkę, odbuduje zniszczenia, zatroszczy się o budynki i ziemię, to w owym dniu, gdy wszystko się odwróci — pamiętane mu będą zasługi. Tymczasem jest nawet dobrotliwy, mówi gdzie schował mąkę i cukier, niechaj korzystają z tej pomyłki losu, który „gospodarza" uczynił nocnym duszkiem.

W pierwszej scenie Chłop mówi do Przybysza: „Pan — gospodarz?". Przybysz potwierdza: „Tak. Dlatego tu przyszedłem". Słowo „gospodarz" jest tu wieloznaczne, zawiera treści narodowe, klasowe i prawne. Gospodarz znaczy „Niemiec", znaczy „bogaty" i znaczy „właściciel". Jest w nim dystans pomiędzy przybyszem zza Buga a przybyszem zza Odry: ciągle jeszcze żywy dystans pozycji społecznej.

W trzy kwartały później Przybysz przynosi chłopu pieniądze. Sąsiedzi Chłopa chcą sprzedać kawałek ziemi.. Przybysz proponuje, by ziemię tę kupić. Właśnie w tym celu przyniósł pieniądze: żeby umocować chłopa do zawarcia w jego imieniu tej umowy. Tu znowu jesteśmy w świecie imaginacji niekontrolowanej wiedzą o sytuacji prawnej osadników. Jeśli ci sąsiedzi są osadnikami, to — praktycznie rzecz biorąc — ziemi sprzedać nie mogą, a i z punktu widzenia interesów Przybysza transakcja ta nie ma żadnego sensu. Jeśli zaś są nawet autochtonami, to i wówczas transakcja ta jest nieprawdopodobna: zbycie części gospodarstwa natrafiało wówczes na tyle przeszkód, że pewien wybitny cywilista wrocławski, któremu streściłem ten fragment scenariusza, wyraził swą opinię w następującej formule: „Jest to sytuacja do pomyślenia, ale wymaga niezwykle oryginalnego umysłu". Ale w tej scenie spotykamy znowu jedno dobre słówko. Chłop powie do Przybysza: „Pan — sąsiad?". Minęły bowiem żniwa, minęło trochę czasu historycznego, który był również czasem ludzkim: czynił zmiany w psychice osadników. Dystans pozycji społecznej został więc wymieniony na dystans niejako geograficzny, odległość pionowa na — poziomą. Już padło to słowo, przywołany został temat — sąsiedztwa. Współczesne stadium sąsiedztwa polsko-niemieckiego zawiera również psychologiczny refleks tej szczególnej sytuacji społecznej, gdy transfer i migracja są równocześnie ruchem poziomym i pionowym: przebyciem iluś tam kilometrów w płaszczyźnie poziomej i iluś tam metrów w płaszczyźnie pionowej. Dla polskiego osadnika zza Buga migracja jest osiągnięciem wyższego piętra cywilizacji, lokalizacją w innej płaszczyźnie pionowego układu społecznego. Ma to znaczenie dla samopoczucia osadnika, ale — zwłaszcza że migracji towarzyszą przemiany ustrojowe: wszystkie ich polityczne i gospodarcze skutki — ma również decydujące

znaczenie dla sytuacji narodu uwikłanego w niewybrane przez siebie sąsiedztwo. „Po raz pierwszy w dziejach współczesnych — napisał w roku 1964 Artur Miller — Niemcy nie graniczą z szeregiem zacofanych krajów chłopskich, których bezbronność była zbyt kusząca w przeszłości. To wyrównanie... czyni ekspansję przy pomocy siły znacznie mniej możliwą, niż przed tym".

Gdy to wyrównanie — znowu chciałoby się scenariuszowi Grochowiaka dopisać komentarz historyczny — spełnia się, dom polskiego chłopa nad Odrą odwiedza Przybysz II. Nie ten, który tu kiedyś gospodarował — jego wysłannik. Już nie będzie planów powrotu, będzie propozycja transakcji, która znaczy rezygnację z powrotu. Przybysz przywozi plan gospodarstwa, jest tam miejsce, gdzie schowano złoto. Chłop ma je wykopać i podzielić się po połowie: oto spełnia się równość obu partnerów transakcji. Już nie brat — bratu, sąsiad — sąsiadowi! Będziemy świadkami rozczulającej sceny. Chłop odrzuci ofertę: „Złoto zostanie w ziemi. Są w niej kości, niech będzie i złoto". Boryna wzgardził majątkiem w imię wyższych racji. Tego obrazu nie udźwignęłaby poetyka reportażu scenicznego. Przyfrunął on do nas na skrzydłach ludowej przypowieści.

Bo przecież grzeszyłem tu cały czas marzącą pedanterią. Marzyło mi się, że to jest scenariusz o współczesnym stadium polsko-niemieckiego sąsiedztwa, a to jest współczesna wersja ludowego mitu o chłopie i diable. Mit o chłopie i diable może być geograficznie zlokalizowany — to go uwierzytelnia, a któryż z opowiadaczy zrezygnuje z przywołania tej „dobrej wiary" słuchaczy? — ale właściwie wymaga on tylko odpowiedniej scenerii. Może się objawić nad rzeką lub nad jeziorem — wtedy diabeł zwie się „utopcem" lub „wesermónem", może pod lasem. Wszędzie

Stanisław Grochowiak

PARTITA NA INSTRUMENT DREWNIANY

W POPIÓŁ PŁODNA

OPRACOWANIE MUZYCZNE: JANUSZ KOZIOROWSKI
SCENOGRAFIA: MARCIN WENZEL
ASYSTENT REŻYSERA: JERZY SMYK
REŻYSERIA: MAREK OKOPIŃSKI

PREMIERA W TEATRZE KAMERALNYM
DNIA 11 CZERWCA 1964

KIEROWNIK LITERACKI: ROMAN WOŁOSZYŃSKI
KIEROWNIK ARTYSTYCZNY: MARIA STRASZEWSKA
DYREKTOR TEATRU: WŁADYSŁAW ZIEMIAŃSKI

PAŃSTWOWE TEATRY DRAMATYCZNE WE WROCŁAWIU, ODZNACZONE ORDEREM „SZTANDAR PRACY" II KLASY

PARTITA NA INSTRUMENT DREWNIANY

OSOBY:

WEYCH, MAJSTER CIESIELSKI	PIOTR KUROWSKI
ŁACIAK, WŁAŚCICIEL TARTAKU	JÓZEF PIERACKI
SKUPIK, UCZEŃ CIESIELSKI	EDWARD LUBASZENKO
STULPA ROBOTNICY	TADEUSZ SKORULSKI
PIELECKI	JERZY SMYK
FURMAN	BORYS BORKOWSKI
OFICER	ANDRZEJ WYKRĘTOWICZ
RESTAURATOR	MIECZYSŁAW ŁOZA
CÓREŃKA	JADWIGA SKUPNIK
KOBIETA	ADELA ZGRZYBŁOWSKA
I Z ESKORTY	MARIAN WIŚNIOWSKI
II Z ESKORTY	. . .

W POPIÓŁ PŁODNA

OSOBY:

CHŁOP	JERZY SMYK
KOBIETA	ADELA ZGRZYBŁOWSKA
PRZYBYSZ I	PIOTR KUROWSKI
MUNDUROWY I	TADEUSZ SKORULSKI
MUNDUROWY II	MARIAN WIŚNIOWSKI
MUNDUROWY III	EDWARD LUBASZENKO
CHŁOPIEC	. . .
PRZYBYSZ II	ANDRZEJ WYKRĘTOWICZ

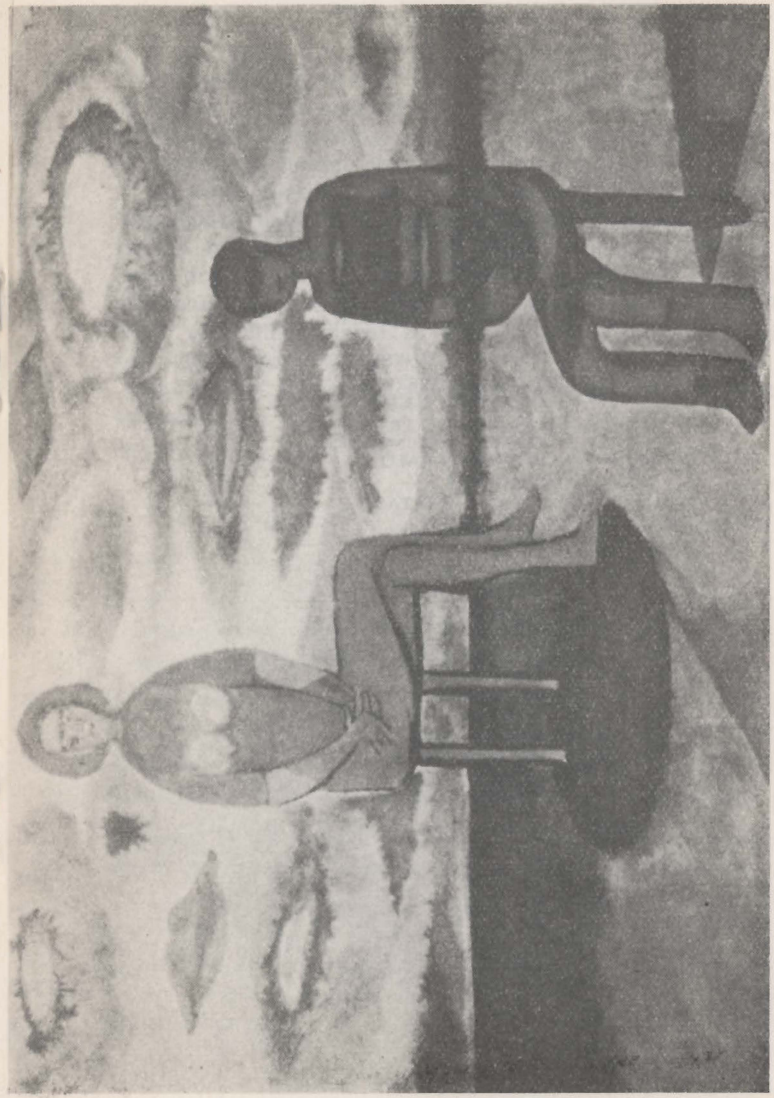

Andrzej Wróblewski, Małżeństwo II, 1956, gwasz

PRZEDSTAWIENIE PROWADZI
KAZIMIERZ HERBA

KIEROWNIK TECHNICZNY
MIROSŁAW DZIKI

BRYGADIER SCENY
TADEUSZ KACZMAREK

SUFLER
WANDA JASIUKIEWICZ

GŁÓWNY ELEKTRYK
KAZIMIERZ PIĄTEK

KIEROWNICY PRACOWNI:
KRAWIECKIEJ MĘSKIEJ
JÓZEF PRECKAŁO

SZEWSKIEJ
MIKOŁAJ BRATASZ

TAPICERSKIEJ
RYSZARD TKACZYK

STOLARSKIEJ
MICHAŁ PRAISNER

ŚLUSARSKIEJ
STANISŁAW TAPEK

KRAWIECKIEJ DAMSKIEJ
WANDA PRECKAŁO

MALARSKIEJ
TADEUSZ CHĄDZYŃSKI

PERUKARSKIEJ
MIECZYSŁAW WOJCZYŃSKI

MODELARSKIEJ
TADEUSZ ŻAKIEWICZ

tam, gdzie latają strzygi i spod szafy wyłażą garbate skrzaty, gdzie — jak powiada Mrożek — jest inna specyfika.

Więc był sobie chłop, który — jak to u chłopów bywałe — miał dwie dusze: duszę pracownika i duszę właściciela. I był sobie diabeł, który — jak to u diabłów bywałe — przychodził nocą, a śpiewanie było przed jego przyjściem, co też być powinno. I chciał diabeł kupić od chłopa tę jego drugą duszę, płacił cukrem, pieniędzmi i złotem. Ale chłop nie wziął złota, ocalił swą duszę właściciela. Więc czmychnął diabeł za drugą rzekę i spokój już jest od niego. Amen.

Na sztukę o sprawach nadodrzańskich ciągle jeszcze czekamy.

DWADZIEŚCIA LAT TEMU

Władysław Pilak

(WROCŁAW 1954)

[...] Nigdy jednak nie przypuszczałam nawet, że miasto, tak piękne kiedyś i bogate, może tak wyglądać. Ujrzałam po raz pierwszy morze ruin. Budynki, które ocalały, miały również wygląd ruiny, przysypane gruzami po parter, a niekiedy po pierwsze czy nawet drugie piętro. Czarne czeluści okien wypalonych budynków straszyły swoim widokiem. Las białych kominów sterczał spod gruzów. Drzewa, które kiedyś służyły za ozdobę parków, stały dzisiaj jak szkielety opalone i połamane. Powietrze było przesycone kurzem i dymem. Przypuszczalnie z piwnic unosiła się niemiła woń rokładających się trupów.

Miasto było ciche i spokojne. Znikąd nie dochodził gwar. Od czasu do czasu ciszę tylko przerywała salwa wystrzałów niewiadomego pochodzenia. To był jedyny znak, że ludzie tu są, że żyją. Że miasto nie jest zupełnie wymarłe [...] Wzięłam dzieci za ręce i podążyłam za ludźmi (którzy przyjechali wraz ze mną), którzy szli tylko w jednym kierunku, kurczowo trzymając się gromady. Nikt się nie ociągał z pozostaniem w tyle [...]

„Anka"

(REPARTIANCI ZZA BUGA)

Biura już jako tako urządzone, a tutaj już nadjeżdżają pierwsze transporty repatriantów. Przeważnie same matki z dziećmi i starcy. Mężowie i synowie walczą na froncie nad Odrą. Przemęczone to wszystko, brudne, głodne i obdarte. Kobiety w 50% analfabetki. I tutaj zaczyna się naprawdę

LUDZIE, LUDZIE, GDZIE IDZIECIE?
TAM GDZIE ZIEMIA LEŻY OSCHŁA,
W POPIÓŁ PŁODNA, W DYM POROSŁA,
TAM NAS JUTRO ODNAJDZIECIE.

kłopot. Przeważa ludność z pow. Sarny. Kilkadziesiąt rodzin, sami Grabowscy i Rudniccy. Imiona żeńskie: Tekle, Filomeny. Męskie — Hilary, Gerwazy. W dodatku kobiety przeważnie nie umieją się podpisać, nie znają dokładnych dat urodzenia swoich i dzieci. Zapytane o datę urodzenia, odpowiadają: „Ano panienko, było to jakoś, jak my żęli żyto", albo „córka urodziła się, jak my kartofle kopali".

Najgorzej jest wtedy, gdy przychodzą zasiłki rodzinne dla rodzin wojskowych. Prawie wszystkie Tekle, Filomeny — Grabowskie i Rudnickie, podpisują się krzyżykami i bardzo często zabierają niewłaściwe zasiłki, a potem płacz, lament. Powoli jednak uczymy się poznawać poszczególne osoby.

Nasza gmina zapełniała się coraz bardziej. Nadjeżdżają repatrianci z okolic Lwowa, Tarnopola. Coraz częściej słyszy się: „całuję rączki, upadam do nóżek". Jest też sporo osadników z Zagłębia Dąbrowskiego. Roboty pełne ręce. Od rana do wieczora [...]

Jerzy Kazimierczuk

(NAD NYSĄ)

Nie, wtedy jeszcze nie miałem tej świadomości — to serce Polaka i instynkt Mazura kazał mi wyruszyć na Zachód, by

LUDZIE, LUDZIE ZAWRACAJCIE,
WŚCIEKŁE WILKI W TAMTEJ STRONIE,
W KAŻDYM BAGNIE BŁĘDNIK PŁONIE,
TAM DOBREGO NIE SZUKAJCIE.

tu pracować. Łomża w styczniu 1946 roku też była opuszczona i biedna. Jej uparci mieszkańcy ściągali jeszcze z różnych stron do ruin miasta i pustek mieszkań, gdy nasza czwórka łomżyniaków wyjeżdżała w nie znany jeszcze Dolny Śląsk [...]

Nic nie świadczyło, że Zgorzelec leży nad granicą. Dziś po tylu latach granicę czuje się w promieniu kilkudziesięciu kilometrów od niej. Szyny tramwajowe biegnące główną ulicą Zgorzelca prowadziły do zburzonego mostu, poza którym widniało właściwe miasto, ale po stronie niemieckiej [...]

Wybrałem [...] Sławnikowice. Z mapy wypadało, że należy ich szukać niedaleko Zgorzelca, lecz nikt ze spytanych nie umiał mi powiedzieć, jak do nich dojść. Przenocowawszy u p. K., żołnierza i nauczyciela, rano ja w jedną, a Józek w drugą wybraliśmy się stronę. Kilkanaście kilometrów odległości mego nowego miejca zamieszkania od metropolii powiatowej zleciało mi dość szybko. Mimo stycznia było bezśnieżnie i ciepło. Na polach widziało się pracujących oraczy nadrabiających stracony czas jesiennych prac, z poniektórych domów ulatywał dym niosący zapach polskiego jadła, dymiły jeszcze domy niemieckie. Droga wiodąca mnie była drogą boczną, chociaż jak wszystkie takie w tych stronach była zadrzewiona i dobrze utrzymana. Każdy przechodzień był z ciekawością oglądany, gdy z tłumokiem wchodził do wsi [...]

Zamieszkałem u sołtysa, wtedy kawalera. Zajmował duże gospodarstwo, obsługiwane przez Niemców, któremu mimo pracy społecznej poświęcał dużo energii, tak że nie potrzebował się wstydzić byłych właścicieli [...]

Ach, cóż to była za radość i święto dla całej wsi, gdy zjawiły się wozy wiozące nowego osadnika. Naturalnie wszyscy musieli być przy obejmowaniu przez nowego osiedleńca gospodarstwa. Pamiętam przyjazd p. G. nie tylko dlatego, że ci naftownicy z Borysławia stali mi się bliscy później przez swą gościnność i ciepłe chwile spędzone z nimi, ale dla charakterystycznego na owe dni wypadku. Był to luty 1946 r. W znoszeniu rzeczy G. brała udział prawie cała wieś. Czego tam nie było. Chyba wszystko potrzebne i użyteczne. Ale było tam coś, co poruszyło wszystkich. Mała beczułka ściągnęła uwagę zebranych dokoła wozu. Kapusta kwaszona, polska kapusta nigdy chyba nie była z taką ceremonią jedzona jak wówczas. Bez niczego, prosto do ust z ręki napełnianej hojnie przez zdziwioną tym gospodynię, uzupełnialiśmy brak polskiej potrawy [...]

Po roku życie w Sławnikowicach było w pełni. Ambicją każdego gospodarza było zapełnić oborę, chlew czy stajnię. Były to wielkie plany, bo nowi gospodarze zastali pustki. Myślę, że długo na to czekać nie trzeba byłoby, każdy rok przysparzał przychówku, a nowoczesna uprawa zwiększała plony. Ech, Polacy to naród wszelkich możliwości, że robimy głupstwa, to tylko dlatego, że jesteśmy narodem młodym, i to młodym coraz od nowa, z każdym wyzwoleniem. Trzeba było w te lata patrzeć na polskiego chłopa, który pierwszy raz dotykał kosiarki, oglądał żniwiarki, któremu nad głową pierwszy raz paliła się elektryczność, poruszała mu

maszyny, gotowała, piekła. Zdawało się niejednemu, naturalnie temu, kto nie zna i nie wierzy w swój naród Polakowi, i wszystkim Niemcom, będącym świadkami obejmowania naszej prawiecznej własności, że na tych ziemiach wyrośnie puszcza, a chłop powróci znów do sierpa, który na wszelki wypadek przywiózł ze sobą. Ostatni śmiał się chłop. Wystarczyło kilka miesięcy, a może nawet kilka tygodni, aby na kosiarce siedział jakby się na niej urodził, klął, gdy elektrownia wyłączyła światło, a do pustych garaży po kilku latach wprowadził motocykle [...]

LUDZIE, LUDZIE, CO ROBICIE,
OSCHŁĄ ZIEMIĘ OSWAJAMY,
TOPORAMI I PŁUGAMI
TU NAS DZISIAJ ZOBACZYCIE.

Wieś z każdym rokiem stawała się bardziej polska. Niemieckość, po odejściu dawnych gospodarzy, została tylko w rzeczach martwych, wszystko inne stało się nasze. Trzeba tu zaznaczyć, że Niemcy opuszczali Sławnikowice chętnie, jeżeli to tak można w takich wypadkach nazwać. Mimo zatrzymywania niektórych, nie godzili się pozostać. Wrogości do niemieckiej ludności nie zauważyłem. Dopóki był gospodarz Niemiec, Polak obejmował tylko część domu, dzielił się z nim czym miał, razem pracowali. Większość znów Niemców, gdy znalazł się na ich gospodarstwie nowy gospodarz, samotny lub jeszcze bez rodziny, dzieliła się z nim „melzupą" (łuj, niedobra, chociaż według nich zdrowa). Były wypadki grabieży Niemców, ale były to wypadki pojedyńcze i ostro potępiane przez ogół mieszkańców naszej wsi. Polska wkraczała drzwiami i oknami do mieszkań, domów, wsi i miast Dolnego Śląska, aby tu pozostać na zawsze. Kończył się piękny pionierski okres osiedlania Ziem Odzyskanych, zaczynał się czas zagospodarowywania i zrastania ich z resztą Polski, a wraz z tym czasem miejsce instynktu osiedleńczego Mazura i odruchu serca Polaka do tych ziem zajęła świadomość, że tu jest mi dobrze i swojsko i że gdyby nie było żadnej racji za tym, że Ziemie Odzyskane są polskie, to zadośćuczynienie wiekowej krzywdzie wyrządzonej nam przez zachodnich sąsiadów jest wystarczającym powodem, aby one nigdy nie były już więcej niemieckie.

Aleksander Pietraszko

(*W POBLIŻU TUROSZOWA*)

Zbliżały się żniwa, a pszenica była dobra, z zadowoleniem więc przygotowywałem się do zbiorów. Zmontowałem kosiarkę-samowiązałkę i kiedy nastała odpowiednia pora — wyjechałem w pole. Po raz pierwszy siedziałem na maszynie, która sama kosiła i wiązała. Serce rozpierała radość. Patrzałem na skoszone pole i mimo woli przypomniałem sobie, jak to na Wileńszczyźnie zgarbione kobiety z maleńkim sierpem, w palącym słońcu, ociekając potem, ze spieczonymi wargami, całymi miesiącami tak się męczyły na wąskich zagonach. Pomyślałem sobie, ile to trzeba byłoby stracić czasu na zżęcie tej pszeniczki jednej kobiecie. Maszyna mówiła sama za siebie. W duchu oddałem hołd technice [...]

Spora część ludzi, którzy osiedlili się na zachodzie, pochodziła zza Buga, gdzie panowało zacofanie i ciemnota, a dlatego w większości wypadków nie mieli pojęcia o technice i elektryczności. Niejednokrotnie nie wiedzieli do czego służą poszczególne przedmioty lub maszyny, a jeżeli i dowiedzieli się, to nie umieli się z nimi obchodzić, i dlatego nie doceniali ich wartości. Często cenne przedmioty poniewierały się po śmietnikach lub stanowiły zabawkę dla dzieci. Kiedy się o tym przekonałem, to przy każdej kupce śmieci przy-

stawałem i przyglądałem się, czy nie znajdę czegoś pożytecznego. W ten sposób znalazłem piękny statyw do aparatu fotograficznego, co w sumie warte jest kilkaset złotych.

Przechodząc raz ulicą, zauważyłem, jak dzieci ciągnęły odkurzacz elektryczny. Pytam się więc, co one ciągną. — Pieska prowadzimy — powiadają — ale jaki on zły jest, proszę pana, jak strasznie warczy, jeśli pan chce, to zaraz pokażemy, tylko należy go włączyć do prądu. Wtedy wyje, aż iskry lecą. — No, dobrze, wierzę wam — powiedziałem — ale jeżeli chcecie, to dam wam za niego dużo pieniędzy, bo ja właśnie potrzebuję takiego pieska. Dzieci się zgodziły, a rodzice ich chętnie mi sprzedali ten jeszcze zupełnie nowy odkurzacz, uważali bowiem, że wcale nie jest im potrzebny [...]

Letnią porą gospodarze pozostawiali konie na noc na pastwisku, które przeważnie znajdowało się blisko domu, i nikt ich nie pilnował, chyba czasami kiedy się człowiek obudził, to przewiązał na nowe miejsce, do lepszej trawy. O złodziejach nie było słychu. Ale pewnego dnia powstał alarm. U sąsiada zginęły konie i stwierdzono, że ślady prowadziły w kierunku granicy. Zawiadomiono służbę graniczną i w czasie poszukiwań stwierdzono, że konie powędrowały za Nysę. Władze WOP-u wezwały straż niemiecką, której zakomunikowano, że granica została przerwana ze strony niemieckiej i uprowadzono dwa konie. Wspólne poszukiwania wykazały, że konie zostały uprowadzone w głąb Niemiec, i nie dało się ich odzyskać. Krążyły pogłoski, że je zabrał stary gospodarz.

Wypadki odwiedzin dawnych gospodarstw przez Niemców były dość częste. Wiem, że niejednokrotnie osadnicy współczuli tym ludziom i obdarowywali ich mięsem, którego wtedy było w Niemczech brak, i innymi produktami. Nieraz uskuteczniali z nimi handel walutą.

Czasami dochodziło też do bliższych stosunków miłosnych między osadnikami a Niemkami, które przychodziły po wysiedleniu zza Nysy i przebywały w Polsce całymi miesiącami, przechowywane przez swoich ukochanych [...]

Dzieci rodziły się w Zatoniu dość często. Rozwiązania odbywały się przeważnie w szpitalu w Bogatyni, ale też nierzadko i w domu, przy współudziale „babki". Każde pojawienie się na świat nowego obywatela Ziem Odzyskanych witano

LUDZIE, LUDZIE, NIE SZALEJCIE,
ZIEMIA WZEJDZIE PAGÓRAMI,
CZARNA CHMURA JEST NAD WAMI,
WY NAD SOBĄ LITOŚĆ MIEJCIE.

bardzo hucznie i uroczyście. W uroczystości brała udział pokaźna część obywateli wsi, a przy tym uskuteczniano przeróżne tradycje regionalne. Do bardzo ciekawych zabaw należy sadzanie na bronie babki, która w obawie, aby się nie pokaleczyć, musiała wykupić się litrem wódki. Jeżeli tego nie zrobiła, to ku ogólnej uciesze musiała się przejechać na tej bronie. Co prawda nie sadzano jej na gołych zębach, ale zawsze było to nieprzyjemne i przeważnie babka się wykupywała [...]

Izabela Grdeń

(PODRÓŻ NA ZACHÓD)

[...] zaczęliśmy się zbierać naprawdę. Do gotowych skrzyń pakowaliśmy drobniejszy sprzęt gospodarczy, naczynia kuchenne oraz różne inne drobne rzeczy, których przy pakowaniu znajduje się, niewiadomo skąd, niewiarygodne ilości. Targowano się przy tym i sprzeczano. Rej jak zwykle prowadziła mama z tatem. Tato znosił z całego domu różne drob-

ne głupstwa, do których był przyzwyczajony, a mama swoje. Miejsca w pakach nie było za dużo, a gratów mnóstwo. Mama, jako bardziej praktyczna, pakowała naprzód naczynia, potem pościel, kury, wiązała siano dla krowy na drogę, słomę. Kazała nam narżnąć sieczki dla „Małej", namielić dla niej śrutu na żarnach. Potem pakowała dywaniki, chodniki, obrazy święte, figurki, krzyżyki. Kiedy wreszcie brakło miejsca w kufrach, walizkach i skrzyniach — zaczęła „rewidować" skrzynie, które pakował tato, i wyrzucać mu „jego" rzeczy [...] Gdy znaleźliśmy się na stacji i załadowali z wozu do jednego olbrzymio długiego szeregu czekających pak i ludzi przy torze kolejowym, unikaliśmy wzajemnie spojrzenia sobie w oczy. Ojciec zgaszonym jakimś, beznadziejnie smutnym wzrokiem wpatrywał się nieruchomo w jakiś punkt czy przestrzeń. Matka z oczami czerwonymi od płaczu krzątała się przy naszej „Małej", kurach i reszcie dobytku, który teraz — złożony w pakach z nieheblowanych desek, wydawał się przykro mały i niepozorny [...]

Franciszek Buchtalarz

(PIONIERSKIE OBYCZAJE)

Najwięcej życia w podróży wnosiły słomiane wdowy, cieszące się z góry, jak zaskoczą swych mężów, przyjeżdżając niespodziewanie do Szczecina. W tym miejscu muszę wspomnieć, że niektórzy osadnicy i delegowani urzędnicy przez dłuższy czas nie sprowadzali swych rodzin, pisząc do nich

LUDZIE, LUDZIE, JAK ŻYJECIE,
W SADACH BIAŁYCH MAMY DOMY,
ŚPI W KOLEBCE URODZONY,
WZESZŁO Z ZIEMI PIĘKNE DZIECIĘ.

gdy już poczta była czynna, że grozi im tutaj niebezpieczeństwo napadów, że czasy są niepewne, że może wybuchnąć wojna itp. bzdury; robili to rozmyślnie, sami zakosztowawszy swobody, przeżywając drugą swą młodość [...]

[...] mężczyzn w pierwszych latach osadnictwa było więcej jak kobiet i każda wolna niewiasta była adorowana i wybierała, kogo chciała. Kobiety miały powodzenie jak w Argentynie. Chodziły więc dumne i wesołe, nie żałując swego przyjazdu na zachód. Mężczyźni znowu korzystali ze swobody

LUDZIE, LUDZIE, NIE WRACAJCIE,
DOBRE NIEBO JEST NAD WAMI,
MY Z PIEŚNIAMI, PODARKAMI,
JUŻ IDZIEMY — WIĘC CZEKAJCIE.

osobistej, nie mając żadnych hamulców krępujących ich wolność. Zresztą, będąc nawet stanu wolnego, małżeństw w pierwszym okresie osadnictwa nie mogli zawierać w znaczeniu legalnym choćby dlatego, że nie było zorganizowanych jeszcze urzędów stanu cywilnego i parafii wyznaniowych, dających śluby. Okoliczności te sprzyjały więc wolnej miłości [...]

(UPIORY)

Latem 1946 r., gdy już można było zapuścić się do pobliskiego lasu w poszukiwaniu grzybów jadalnych, na każdym kroku spotykało się kości ludzkie rozwłóczone przez wrony i gawrony, a nawet całe głowy tkwiące w podpasanym rzemykiem hełmie żelaznym ze znakiem swastyki. Przygotowujących nową wojnę należałoby zabrać do pozbierania tych kości; może na widok cmentarzyska myśli ich skierowałoby się do poszanowania życia ludzkiego [...]

[PAMIĘTNIKI OSADNIKÓW ZIEM ODZYSKANYCH]
Poznań 1963, opr. Z. Dulczewski i A. Kwilecki

Stanisław Grochowiak

NAUKA CHODZENIA

A JESTEŚ ZIEMIA. GLINA, OŁÓW, SÓL —
JEDWAB POPIOŁU, CIEPŁA ROZKOSZ BAGIEN.
A JESTEŚ OGRÓD. W TOBIE SARNY NAGIE,
WOŁY ŁAGODNE, ROZPĘKNIĘTE WPÓŁ...

WSZYSTKO, CO DŹWIGASZ, UZBROIŁAŚ W BÓL —
TO, CO ZAKRYWASZ, W POSĘPNĄ ODWAGĘ.
A JESTEŚ OGRÓD. W TOBIE PANNY NAGIE,
TWARZE MŁODZIANKÓW ROZPĘKNIĘTE WPÓŁ...

TAK ĆWICZYĆ BĘDĘ MOJE STOPY OBIE,
(WIĘC STOPY WIERSZA — WIĘC OBLEKŁE W CZUCIE)
ŻE KROK UCZYNIĘ, A ODBĘDĘ WIEKI.

I GDYBYM Z NAGŁA W INNE ZIEMIE UCIEKŁ,
NIECH TRWA NAUKA, ŻE CO KROCZEK ZROBIĘ,
TEN BĘDZIE PŁASKI — JUŻ NIGDY: DALEKI.

Stanisław Grochowiak

PODZIEMNI

PIOTR ŻEGNAŁ CHŁOPÓW — UKŁADAŁ ICH W RZĘDY,
BRZUCHOM DAŁ BAGNO, Z PLECÓW WZBIŁ POMNIKI.

I TOBIE NASTAŁ CZAS URBANISTYKI,
KTÓRĄ CZYM DŹWIGAĆ? ROZBIEGAĆ KTÓRĘDY?

TU CUG SUTEREN — TAM CZYSTYCH OKRZYKI,
TU ŚLEDŹ SKRZYDLATY — TAM SZKLANE LEGENDY.
POPATRZ! FRUNĘLI... JAK ZWIEWNE OKRĘTY,
GDZIE NIE PROPORCE, A KLASZCZĄ — JĘZYKI.

MIASTA ZAŚ ROSŁY ZE SKRZYPIENIA ŁÓŻEK,
Z POWROTÓW MARTWYCH, Z NAGŁYCH DRZWI OTWIERAŃ,
Z UST ROZŁAMANYCH NOCNYM OSŁUPIENIEM...

SUFIT JEST NISKO, OPARTY NA CHMURZE
CIĘŻKI OD DYMU, CO GDY SIĘ NAZBIERA,
PODWAŻY SUFIT. ZNACZY: RUSZY ZIEMIĘ.

Stanisław Grochowiak

ODCHODZĘ
GASNĄ
ODCHODZĄ
PRZYSTAJĘ
DALEKO GWIŻDŻĄ NA GLINIANYCH TRĄBKACH
CZASEM SIĘ SANDAŁ DZIEWCZYNIE OTWORZY
I ZBIEGA NIKE
I WIĄŻE JEJ SANDAŁ

PRZYSTAJĘ
IDĄ
CIASNYM ZAUŁKIEM
W POŚWIACIE ŚWITU JAKBY NIEŚLI WIADRA
PEŁNE POPIOŁU

TACY SĄ NIOSĄCY
JAKBY DŹWIGALI DŹWIGANIE DŹWIGANIA

ZMĘCZENI LICZĄ
NA CO LICZĄ? ILE?
NIE LICZĄ WIĘCEJ NIŻ ŁAGODNOŚĆ NOCNA
KIEDY NAD DOMEM
RÓŻOWIEJE ANIOŁ
O SKRZYDLE MODRYM
SENNYM
I JEDYNYM

A POTEM RĘCE POŁOŻĄ NA STÓŁ
ZGODZĄ SIĘ
NA
PÓŁ..

Maria Jaremianka, Penetracje, monotypia

PATRONAT NAD PREMIERĄ SZTUK
STANISŁAWA GROCHOWIAKA

SPRAWUJĄ:

DOLNOŚLĄSKIE ZAKŁADY WYTWÓRCZE
MASZYN ELEKTRYCZNYCH M-5
„DOLMEL"

ORAZ

KLUB STUDENCKI „FOSIK"
PRZY POLITECHNICE
WROCŁAWSKIEJ

„Prasa" Wrocław 1422/64. W-9/367.

REDAKTOR PROGRAMU
ROMAN WOŁOSZYŃSKI

OPRACOWANIE GRAFICZNE
WANDA GOŁKOWSKA

SEKRETARZ TECHNICZNY
HANNA PARTYKOWA

Nr 11
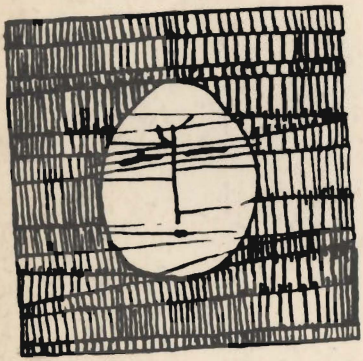
Cena zł 3,-